

[...]

Czym innym są jednak tzw. *laydboy'e*. To zaskakujące, jak transwestytów, określanych przez Tajów jako *kathoey*, traktuje lokalna kultura - zupełnie inaczej, niż w Europie. Słynnych mężczyzn wyglądających i ubierających się jak kobiety, nierzadko niesamowicie atrakcyjne przynajmniej na pierwszy rzut oka, spotkasz w Tajlandii na każdym kroku. Krótko mówiąc, Tajowie pod tym względem są dużo bardziej wyrozumiali i tolerancyjni, niż reszta świata, a osoby nieczujące się dobrze ze swoją płcią raczej nie mają tutaj problemów, są powszechnie akceptowane i tolerowane. Czym innym jednak tolerancja, a czym innym całkowite wsparcie - w wielu miejscach taka przypadłość jest traktowana jako dziwactwo, przez co *kathoey* mają nierzadko problemy ze znalezieniem normalnej, uczciwej pracy. Z tego powodu tak duża ich część kończy w branży rozrywkowej, nierzadko trudniąc się również prostytutką.

Ja jednak w swoich podróżach zwykle od razu uciekam z wielkich miast i całego społecznego bagienka - staram się jak najszybciej przenosić do natury. W góry, w las, czy nawet na plażę - tak też robiłem w Tajlandii. Spędziłem wprawdzie dwa dni w Bangkoku, kilka w Chiang Mai i w miasteczkach po drodze, ale jednak najlepiej czuję się z dala od wielkich ośrodków miejskich. Tajlandię odwiedziłem do tej pory trzykrotnie, spędzając tam w sumie prawie trzy miesiące. To jeden z moich ulubionych krajów na całym świecie. Choć ma sporo minusów, to życzliwość mieszkańców, bezpieczeństwo, klimat, wspaniała kuchnia i przyroda sprawiają, że do Tajlandii zawsze chce się wracać, jest tak łatwy w podróżowaniu, że w zasadzie można tu przyjeżdżać samemu bez znajomości żadnego języka i jakoś wszystko pójdzie - angielski bardzo rzadko i tak bywa pomocny. Pod względem natury jednak potrzebowałem czegoś więcej, niż może dać Tajlandia - wizyty w prawdziwej, gęstej, równikowej dżungli.

Przekonacie się, że najjaśniejszym punktem dnia jest mycie zębów – mówił major. – To jedyny kawałek ciała, który uda się wam zachować w czystości. Nie próbujcie się golić w dżungli, bo najłżejsze zadrapanie natychmiast zaczyna się paskudzić. I nie bierzcie więcej niż jedną zmianę odzieży – starajcie się, żeby wasze



Część szlaków w PN Bako wiodła po drewnianych pomostach, co znacząco przyspieszało poruszanie się po dżungli

plecaki ważył dużo mniej niż sześćdziesiąt funtów każdy. (...) Trzymajcie w plecaku, w szczelnie zamkniętej torbie plastikowej, jeden komplet suchych ciuchów. Wkładajcie je na noc, już po jedzeniu. Pudrujcie też całe ciało talkiem (...). Wstawajcie o pół do szóstej i włączcie z powrotem w mokre ubranie. W pierwszej chwili jest to nieprzyjemne, ale nie załamujcie się. Nigdy. Jeśli się załamię, zostaniecie z dwiema zmianami mokrych ciuchów.(...), Weźcie parę porządnych butów, solidne, grube spodnie i mocne koszule. Wierzcie mi, odechce się wam udawać chłopaczków w szortach, kiedy tylko dobiorą się do was pierwsze pijawki. Aklimatyzujcie się stopniowo. Tropiki działają na ludzi rozmaicie. (...) Wyda się wam, że to już koniec świata. Nie będziecie mogli oddychać. Nie będziecie mogli ruszyć ręką, zrobić kroku. A po dwóch tygodniach przywykniecie. Kiedy raz znajdziecie się w prawdziwej dżungli, nie będziecie chcieli z niej wyjść.¹

Bywałem w różnych miejscach na Ziemi, tych bardziej i mniej gorących, ale tak w kość jak na Borneo, nie dostałem nigdzie. Sama

¹ W sercu Borneo, Redmond O'Hanlon, rozdział pierwszy (1984)



Wymarzone spotkanie z bohaterem polskiego Internetu – Nosaczem Sundajskim

temperatura wydawała się nie taka tragiczna, bo kręciła się zwykle w okolicach 30 stopni, ale po dołożeniu do tego maksymalnej wilgotności, człowiek od razu staje się niesamowicie lepki. Pocisz się, ale pot nie ma gdzie odparować. Do klimatu w tropikach dość szybko można się przyzwyczać, ale wizyta w gęstym lesie tylko potęguje te wrażenia. Podczas pierwszego wyjazdu do Azji w 2018 roku obowiązkowym punktem było odwiedzenie Borneo. Gdy leciałem samolotem z Kuala Lumpur, stolicy Malezji, a samolot podczas obniżania pułapu wyszedł z chmur i zobaczyłem przez morze drzew poprzecinane meandrującymi rzekami, przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Spełniałem marzenie, byłem u stóp najprawdziwszej, tropikalnej dżungli.

Borneo jest trzecią największą wyspą na świecie, a porastający je las jest najprawdopodobniej najstarszą żywą puszcza na Ziemi – tutejsze dżungla ma nawet 100 milionów lat (podobnie jak niektóre leśne obszary na półwyspie Malajskim), czyli pamięta czasy, gdy większość powierzchni dzisiejszej Polski była pod wodą, po Ziemi stąpały radośnie potężne dinozaury, a Australia była jeszcze połączona z Antarktydą. Równik przebiega prawie dokładnie przez środek wyspy, co sprawia, że klimat jest tu wybitnie stabilny – przez

cały rok jest parno, gorąco i... leje. Taki klimat sprzyja powstawaniu najbardziej życiodajnych i różnorodnych lasów na Ziemi - wilgotnych lasów równikowych. Wśród tutejszej fauny i flory panuje niesamowita różnorodność, żyje tu od groma przeróżnych gatunków drzew, krzewów, zwierząt, grzybów a mnóstwo z nich jest unikalne w skali świata - z racji swej izolacji przez miliony lat na wyspie ewoluowało wiele gatunków, które nie występują nigdzie indziej na planecie. Wojciech Cejrowski mówił o lasach Borneo, że są czwartym, zachodnim biegunem Ziemi - poza północnym i południowym, które leżą w kręgach polarnych, dwa kolejne najtrudniej dostępne miejsca na Ziemi mają leżeć właśnie w deszczowych lasach Amazonii i Borneo.

Choć latami wydawało mi się, że to właśnie wizyta w amazońskiej dżungli ucieszy mnie najbardziej, to planując podróż po Azji zweryfikowałem ten pogląd - dotarło do mnie, że borneańskie lasy nie dość, że są starsze, wcale nie mniej dzikie, niż te w Ameryce Południowej, to kryją do tego fantastycznego przedstawiciela czelakosształtnych, którego populacja, niestety, jest mocno zagrożona - orangutana. Na wyspę leciałem by zobaczyć właśnie jego, ale również inną małpę - nosacza sundajskiego.

Nie będę tutaj robił z tej wyprawy niesamowicie egzotycznej podróży godnej cytatu z początku rozdziału - odwiedzenie dżungli na Borneo dostępne jest dla każdego turysty, który zrobi trochę researchu w internecie i nie potrzeba do tego ani wielkiej odwagi (chyba, że boisz się robactwa), ani mnóstwa pieniędzy. Borneo jest jednak potężną wyspą i wciąż mnóstwo jest na niej obszarów, zwłaszcza w indonezyjskiej, dużo większej części, które są naprawdę dzikie. Ja lądowałem jednak w stanie Sarawak, na terenie Malezji w północno-zachodniej części wyspy. Najłatwiej i najlepiej odwiedzić stamtąd mały obszar dżungli, otoczony od północy wodami Morza Południowochińskiego, chroniony od 1957 - Park Narodowy Bako. Dostać się do niego można jedynie łodzią, co czyni całą wyprawę mocno ekscytującą - po godzinnym kursie motorówką lądujesz w samym centrum równikowego lasu, a po krótkim spacerze znajdziesz się w małym centrum turystycznym z małą restauracją (trochę zimnego jedzenia na wagę), sklepikiem i domkami do wynajęcia. Domki były tanie, ale ich cena odzwierciedlała standard - moskitiery były dziurawe, a pierwsze, co zrobiłem po wejściu do środka, to kamieniami poprzykrywałem większe dziury w podłodze w obawie przed wężami czy innymi stworami, które mogłyby zechcieć się

zakraść do małej chatki. Po krótkiej aklimatyzacji ruszyłem na spacer.

Park Narodowy Bako można zwiedzać samodzielnie. Jest mnóstwo szlaków wyrysowanych na mapach, które otrzymuje każdy zwiedzający i raczej nie sposób się na nich zgubić. Szlak to wąska ścieżka w naprawdę gęstym lesie i w większości tego lasu nie sposób się poruszać bez jakiegoś narzędzia w stylu maczety, pozostaje więc zostać na szlaku - najlepiej dla przyrody i najbezpieczniej dla zwiedzających. Od pierwszego kroku czuć i słyszeć, że las żyje. Głośnie pohukiwania, skrzeki i przeróżne dźwięki otaczają Cię z każdej strony, liście ruszają się wszędzie wokół Ciebie - od tych najmniejszych, od pełzających po nich gąsieniczkach, po wielkie gałęzie trzęsące się od lądującej na niej kilkudziesięciokilogramowej małpy po kilkumetrowym skoku. Od pierwszego kroku również zalewa Cię pot. Powietrze na Borneo samo w sobie jest gęste, parne i gorące, tropikalny, gęsty las jednak znacznie potęguje to uczucie - sztuka ubioru w takim miejscu to balans pomiędzy nie przegrzaniem się na śmierć, a odpowiednią ochroną przed wszechobecnymi komarami. Twardo jednak maszerowałem ścieżkami lasu, fotografowałem piękne widoki, co chwilę robiąc przerwę, by napić się wody, aż nie spotkałem jegomościa, po którego tu przyjechałem - Nosacza Sundajskiego.

Fenomen małpy, która stała się znakiem rozpoznawczym polskiego Internetu kilka lat temu, nietrudno zrozumieć. Pod pewnymi aspektami Nosacz naprawdę do bólu przypomina człowieka, a raczej jest jego, z naszej perspektywy, karykaturą - ogromny nos, małe oczka, poważna, czasem wściekła mina, wielki brzuch i ciągle lenistwo. Kilka lat temu Internet oszalał na punkcie tej zagrożonej wyginięciem małpy i uczynił z Nosacza przedstawiciela Polski, a fora i strony internetowe zalała fala memów z naszym tropikalnym koleżką. Co ciekawe, nie był to polski wynalazek! Okazuje się, że mieszkańcy Borneo nazywają Nosacza *Orang belanda*, co znaczy *Człowiek holenderski*²! Nazwa powstała setki lat temu, gdy pierwsi kolonizatorzy z Holandii pojawili się na Borneo, a lokalnym ludziom do bólu przypominali znanych im dobrze mieszkańców okolicznych lasów. Wiele lat później kolejny naród dostrzegł karykaturalne podobieństwo do człowieka, stworzył serię żartów wyśmiewających typowo polskie przywary, a Polacy oszaleli na punkcie Nosacza-Janusza, zwanego po prostu *Polakiem*. Okazuje

² <https://www.gdzieindziej.eu/2018/04/nosacz-sundajski-czyli-typowy-polak/>

się jednak, że to bardzo ciekawe i sympatyczne zwierzęta. Są mało konfliktowe, świetnie pływają i większość czasu spędzają na konsumpcji - są prawie całkowicie roślinożerne, zgromadzenie odpowiedniej liczby kalorii jest więc czasochłonne, wiele czasu i energii pochłania również trawienie liści, które są podstawą diety tych małp.

Spacerowałem po drewnianym pomoście nad wielkim, błotnistym korytem, które w czasie monsunu zamienia się w szeroką rzekę, gdy kątem oka zauważyłem spory kształt na pobliskim drzewie. Sekundę później byłem pewien - to Nosacz. Zacząłem spokojnie podążać za nim z aparatem, ale przemykał idealnie tak, by zawsze chować się przed dobrym kadrem. W końcu przystanął i zaczął posilać się na jednej gałęzi, ale był tak schowany, że nie udało mi się zrobić dobrego zdjęcia, zwłaszcza, że nie miałem ze sobą żadnego teleobiektywu. Krążyłem po lesie cały dzień, by spotkać małpy raz jeszcze, ale nie udało mi się i zawiedziony wracałem do chatki, by zdążyć przed zachodem słońca. Zacząłem jeść późny obiad, gdy nagle zrobiło się spore poruszenie i większość ludzi zaczęła wychodzić na zewnątrz. Ruszyłem za nimi, chwytając aparat z przekonaniem, że to na pewno jakaś warta sfotografowania ciekawostka i nie myliłem się - tuż przed wejściem do "restauracji" na drzewie posilała się mała grupa nosaczy, w ogóle nie przejmująca się biegającymi wokół turystami.

- Widzisz je pierwszy raz? - zagaił pokazny, siwy, europejsko wyglądający mężczyzna z obiektywem rodem z National Geographic, gdy biegalem wkoło drzewa jak porażony prądem i pstrykałem zdjęcie za zdjęciem moją małą lustrzanką. Z obiektywem rodem z najtańszego zestawu.

- Tak, pierwszy raz. Przylecieliśmy na Borneo tylko na kilka dni. Bywasz tu częściej? - zapytałem, mając pewność, że mam do czynienia z profesjonalnym fotografem dzikiej przyrody. To szkło musiało być warte dziesiątki tysięcy złotych.

- Tak, przyjeżdżam tu regularnie od dwudziestu lat. Jestem z Niemiec, ale mam żonę z Singapuru, żyjemy trochę w Europie, a trochę w Azji. Ten Park to mój ulubiony kawałek dżungli na świecie.

- Mocno się zmienił na przestrzeni lat?

- Cholernie. Choć widać, że dbają tu o przyrodę i nie walą tu mimo wszystko tłumy turystów, to jest to dla dzikich zwierząt spora zmiana w porównaniu do normalnych warunków. Gdy bywałem tu kilkanaście lat temu, szansa na spotkanie orangutanów i nosaczy była taka sama, ale mała -

oba gatunki starały się unikać bliższych spotkań z ludźmi. Na turystykę zareagowały całkowicie odmiennie - nosacze przyzwyczyły się i nie przejmują się absolutnie naszą obecnością, co możesz zobaczyć na własne oczy. Tak jest codziennie wieczorem. Orangutany za to uciekły - wyniosły się w inne, bardziej dzikie rejony lasów.

- Których jest pewnie coraz mniej?

- Tak, dokładnie, wciąż wycinane są ogromne połacie dżungli pod nowe plantacje. W porze deszczowej orangutany jeszcze sobie radzą, ale w porze suchej, gdy jedzenia na drzewach jest sporo mniej, w pobliskim centrum rehabilitacji są dokarmiane - tak mały obszar lasu nie jest w stanie żywić tak dużej liczby małp. Wpadnijcie jutro na karmienie.

Miałem to w planie - wiedziałem, że jeśli nie uda mi się zobaczyć orangutana w Bako, na co były minimalne szanse, chciałbym odwiedzić *Semenggoh Wildlife Centre*, miejsce, o którym mówił mój rozmówca. To centrum rehabilitacji orangutanów, choć pomagają również innym gatunkom. Dokarmia się tam potrzebujące zwierzęta, ale głównie leczy i ratuje małpy ranne w wyniku spotkania z człowiekiem - poparzone czy poranione przez wycinkę.

Borneańska przyroda boryka się z ogromnym problemem, takim samym, jak Amazonia - wycinką i wypalaniem lasów. Kiedyś dżunglę zamieszkiwały, oprócz zwierząt, jedynie plemiona, które z życiem w gęstym lesie były za pan brat. Indianie, którzy bezgłośnie potrafili poruszać się po lasach, polując na zwierzynę, mieszkając po trochu w jednym miejscu, a następnie przenosząc się w kolejne. Proste, niewykształcone ludy, nieznające białego człowieka i jego kultury. Nasza cywilizacja do pewnego momentu nie potrafiła poradzić sobie z gęstymi lasami - wystarczy wspomnieć fiasco budowy autostrady panamerykańskiej, która poległa w najprawdopodobniej najbardziej dzikim kawałku dżungli na świecie, czyli Darien w Panamie. Wycinkę w lasach deszczowych prowadzono od lat, ale z roku na rok proceder przybiera na sile - i choć amazońskie lasy rzeczywiście od dawna są dziesiątkowane, to efekty niszczenia lasów równikowych najlepiej widać na Borneo. Jeszcze siedemdziesiąt lat temu ciężko było znaleźć kawałek tej wyspy niepokryty dżunglą - dziś lasy zajmują jedynie 1/3 jej powierzchni. W siedem dekad zrównano z ziemią 500 tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli. Trzecia największa wyspa świata jest domem dla tak wielu zagrożonych, niesamowitych gatunków - nosacza sundajskiego,

orangutanów, które po szympanсах są naszymi najbliższymi kuzynami, słoni karłowatych, czy jeszcze do niedawna najmniejszych nosorożców świata – nosorożców sumatrzańskich. Ekosystemy kształtowane przez dziesiątki milionów lat odchodzą w niepamięć w ciągu kilku miesięcy i lat, ale... czy możemy dziwić się Indonezjczykom i Malezjczykom? W końcu łatwo jest mówić o chronieniu przyrody, gdy nie trzeba chronić jej u siebie – wszak u nas praktycznie wszystkie lasy wycięto w pień, w Polsce, a tym bardziej w reszcie Europy (choć może trochę mniej na północy). Choć Polska od czasów drugiej wojny światowej powoli zaczęła dbać o ten element i zalesienie kraju stopniowo się zwiększa, to wciąż jest niższe, niż 30% powierzchni, a tylko ułamek z dzisiejszych lasów to pierwotne puszcze – większość to sztucznie zalesione obszary, istniejące co najwyżej kilkadziesiąt lat.

Czemu wycina się lasy na Borneo? Po pierwsze, eksport. Duża część produktów drzewnych uzyskanych w wyniku wycinki jest sprzedawana, w większości, do krajów ościennych – Chin, Japonii, Australii i reszty Azji. Ogromna część wycinki prowadzona jest pod uprawy – głównie palm, z których pozyskuje się olej palmowy, gęsto używany w branży spożywczej, ale również kosmetycznej. Pośrednio borneańskim lasom zagraża również globalne ocieplenie – lasy te zwykle nie są podatne na pożary, ale przetrzebione przez człowieka palą się łatwiej zwłaszcza, gdy w pobliżu przeprowadza się „kontrolowane” wypalanie, które często spod tej kontroli po prostu się wymyka. To jednak nie wszystko. Kłusownictwo – często poluje się na małe orangutany, które sprzedawane są za niemałe pieniądze jako żywe zabawki. Matka takiego zwierzęcia walczy o potomka na sto procent, co po prostu kończy się jej śmiercią i powoduje dziesiątkowanie i tak nielicznej już populacji tych człekokształtnych. Na Borneo znajdowane są również paliwa kopalniane – ropa naftowa oraz węgiel, których wydobycie skutecznie rujnuje ekosystem na miejscu i wokół kopalni. Powodów do niszczenia przyrody Borneo mamy całe mnóstwo – można czerpać z nich prawie nieskończone korzyści, i choć jest to straszne, to można pomyśleć, że w zamian dużo lepiej żyje się biednym przecież narodom – Malezjczykom i Indonezjczykom, prawda? Otóż, nie do końca. Niestety, pracownicy przy wycince zarabiają najczęściej grosze i pracują w dalekich od komfortowych warunkach, a kieszenie do tej pory napchali przede wszystkim oligarchowie po obu stronach granicy – jak Suharto, były prezydent Indonezji, który rządził przez ponad 30 lat czy Abdul Taib Mahmud, Malezjczyk, za którego rządów

nawet ekolodzy uciekli ze Stanu Sarawak wiedząc, że i tak nie ma tu już czego ratować.

Na Bali jednak w 2007 roku spotkały się głowy trzech państw dzielących między siebie Borneo – Indonezji, Malezji oraz małego, ale bardzo bogatego Brunei. Piętnaście lat temu podpisali porozumienie tworzące potężny, chroniony obszar, nazwany Sercem Borneo. Obejmuje on obszar 220 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli mniej więcej tyle, co 2/3 Polski. Większa jego część to nietknięte do tej pory, bo trudno dostępne tereny góryste z tamtejszą fauną i florą, ale również sporo lasów nizinnych, tych z największą bioróżnorodnością. Spora część tych terenów była chroniona już wcześniej w postaci różnych parków narodowych. Jasne, że tego typu porozumienie nie jest czymś nietykalnym – być może którejś władzy kiedyś się odmieni, i postanowią posłać w diabły wcześniejsze ustalenia. Ale wydaje mi się to coraz mniej prawdopodobne – na szczęście z roku na rok ekologiczna świadomość na całym świecie wzrasta, dociera do nas, jak mocno eksploatujemy planetę i że zasoby Ziemi nie są nieskończone.

– Zbieraj się Antonio. Idziemy szukać liści.

– W środku nocy? Przecież nic nie widać. Nie ma księżycy – próbowałem protestować, ale jednocześnie po omacku wkładałem kalosze. Wiedziałem, że cokolwiek powiem, i tak pójdziemy po te liście. – Nic nie widać! Nic, nic, nic.

Piękna pora na liście.

(...)

Szliśmy chyba około godziny. Przynajmniej tak mi się wydawało. (...) Doszliśmy? – zapytałem po raz setny.

(...)

Angelino stał pochylony i oglądał ściótkę.

– Liście, których nie widać za dnia – powiedział, wskazując światłem latarki zwyczajne, zeschnięte liście.

– Te?

– Te.

– To ich nie widać? Czy może jakichś innych? Bo te wyglądają na bardzo widoczne – byłem tym wszystkim lekko poirytowany. (...)

– Za dnia znikną.

– Jak chcesz, to możemy tu posiedzieć do świtu i wtedy ci udowodnię, że będzie je świetnie widać.

- Znikną.
- Dobra! Siedzimy do rana i czekamy.
- Zgaś latarkę, Antonio. Szkoda baterii – powiedział spokojnie.
- Zgasilem.
- I wtedy, w smolistej ciemności, zobaczyłem kilka zielonych plamek.*
- Fosforyzują! – wyszeptalem z zachwytem.³

Ostatniej nocy w Bako postanowiłem wybrać się na nocny spacer z przewodnikiem. Był to strzał w dziesiątkę. Koszt wycieczki był niesamowicie niski - coś około dziesięciu dolarów, grupa była niewielka, w sumie było nas jakichś sześć osób, a towarzyszyło trzech przewodników, którzy w znakomity sposób opowiadali o borneańskiej przyrodzie i mieli naprawdę świetne oko. Dżungla jest głośnie za dnia, ale naprawdę dużo, dużo głośniejsza nocą. Noc zapoczątkowuje skrzek ptaków, głównie papug, które stają się strasznie aktywne, gdy zaczyna zachodzić słońce i powoli robi się ciemno, a następnie aktywność zaczynają wszystkie zwierzęta, które za dnia chowają się przed słońcem i upałem. Malezyjczycy bez błędu potrafili upolować latarką dziesiątki przeróżnych gatunków, od wszelkiej maści insektów, przez węże i skorpiony, po malutkie i większe ssaki. Wycieczka trwała trzy godziny i jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w dżungli w tropikalnym rejonie świata, koniecznie zdecyduj się również na odwiedzenie jej nocą, najlepiej z przewodnikiem - to zupełnie inny świat, niż za dnia. Najlepsza była jednak końcówka... Gdy zaczęliśmy drogę powrotną przez las do miejsc noclegowych, na środku wąskiej ścieżki główny przewodnik zatrzymał się i zaczął nam dziękować, opowiadając trochę o działaniach organizacji, która dba o Bako, jak i o samym lesie.

Na koniec dodał, że ma dla nas wszystkich niespodziankę i poprosił o zgaszenie latarek, wszystkich co do jednej. Zgasiliśmy je posłusznie, zastanawiając się o co chodzi, a oczy powoli zaczęły się przyzwyczajać do całkowitej ciemności. Uwierz mi, że ciężko jest znaleźć ciemniejsze miejsce, niż tropikalna dżungla nocą - nie ma tu o jakiegokolwiek źródła sztucznego światła w pobliżu, a sufit z roślin skutecznie chroni przed mizernym światłem nocnego nieba. Szybko jednak zacząłem coś zauważać, choć wydawało mi się, że może po prostu coś mieni mi się w oczach - po chwili jednak byłem już

³ Wojciech Cejrowski, *Rio Anaconda*

pewny, że nie.

- Świećcie liście! - krzyknąłem szeptem, mocno podekscytowany, kucając i łapiąc w rękę fosforyzujące rośliny.

- Tak jest! - ucieszył się przewodnik. - Liście, które trzymacie w rękach, swoje światło zawdzięczają specjalnemu gatunkowi grzyba, który potrafi świecić w ciemności. Niesamowite, prawda?

Wtedy poczułem w stu procentach, że spełniło się jedno z moich największych marzeń. Cytat, który znajduje się kawałek wcześniej, pochodzi z książki *Rio Anaconda*, książki, która od lat jest jedną z moich ulubionych książek na świecie. Można Pana Cejrowskiego lubić lub nie, ale na pewno nie można odmówić mu umiejętności pisania - jego pióro sprawia, że wszystkie jego lektury dotyczące Ameryki Południowej i Środkowej pochłaniałem ciągiem, bez przerwy, czytając każdą co najmniej kilka razy. Sprawily one, że zamarzyłem o odwiedzeniu tropików i zobaczeniu lasu tropikalnego na własne oczy, poczuciu tej duchoty i ogromu życia, które rozpycha się tutaj na każdym centymetrze sześcinnym, tak kontrastowo do mojej ukochanej Arktyki. Właśnie wtedy, gdy zobaczyłem świecące liście, wziąłem je w dłoń, przypomniałem sobie fragment *Rio Anacondy* i dotarło do mnie, że chwila, o której marzyłem od lat, trwa właśnie teraz. To było naprawdę piękne uczucie, które pamiętam doskonale do dziś i choć wokół mnie było sporo ludzi, to była bardzo intymna chwila.